

ORGAN ZWIĄZKU

STRZELECKIEGO



STRZELEC

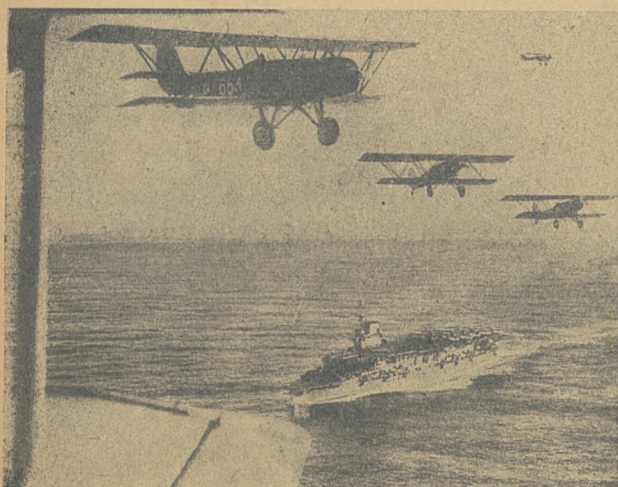
ROK XVII NR. 15



Wieśniaczki z okolic Spreewaldu w swych barwnych i malowniczych strojach na jarmarku w Cottbus.



W myśl nowego prawa bułgarskiego, kobiety po raz pierwszy wzięły udział w głosowaniu.



Interesujące zdjęcie z manewrów morskich marynarki angielskiej. W głębi — lotniskowiec marynarki wojennej.



Na ulicach Faryza pojawił się ostatnio nowy typ samochodu o nadzwyczaj oryginalnej linii karoserii.



W związku ze zbliżającą się koronacją przybywają już do Anglii delegacje wojsk kolonialnych, które wezmą udział w tych uroczystościach.



W Londynie zorganizowany został ostatnio pierwszy kobiecy klub gry w „Baseball”. Na ilustracji — młode pionierki tego nowego sportu.



STRZELEC

TYGODNIK-ORGAN ZWIĄZKU STRZELECKIEGO

ROK XVII

18 KWIETNIA 1937 ROKU

Nr 15

OBYWATEL - ŻOŁNIERZ IDEAŁEM CAŁEJ POLSKI

Zjazd Kierowników Wychowania Obywatelskiego Organizacji P. W.

Siła i wielkość państwa zależy nie tylko od obszaru jakie to państwo zajmuje, od bogactw albo od cyfry ludności, ale przede wszystkim od wartości charakterów poszczególnych obywateli. Polska nie ma takich bogactw, jakie mają inne mocarstwa, bo przez długi czas wyniszczyły jej ziemie państwa zaborcze. Musi się więc dopiero dorabiać. Jest to praca mozolna, trzeba do niej cierpliwości, wytrwałości i rozważli. Nie każdy się do takiej pracy nadaje, nie każdy jest do niej przygotowany. Wielu ludziom wydaje się, że państwo może z dnia na dzień załatwić różne bolączki życia zbiorowego i ulżyć ich doli. W gruncie rzeczy stworzenie nowego ładu w życiu państwa nie jest rzeczą łatwą. Trzeba w tej pracy pomocy obywateli. Państwo zwraca się o tą pomoc. Rozporządzenia ustawy, i postanowienia władz państwowych stanowią najniższy poziom wymagań, stawianych obywatelom. Ogół jednak sądzi, że wystarczy przestrzegać ustaw i zarządzeń, aby być dobrym obywatelem i mieć prawo do stawiania państwu najrozmaitszych żądań.

W tym tkwi wielkie nieporozumienie i niezrozumienie obowiązków obywatelskich!

Kto poprzestaje na spełnianiu obowiązków, kto wypełnia tylko to, czego państwo żąda od niego, ten robi za mało! Dobrym obywatelem jest dopiero ten, kto przyjmuje na siebie dodatkowe obowiązki, które wskazuje mu miłość ojczyzny i ambicja narodowa. Nie każdy to rozumie i dlatego trzeba obywateli do takiego pojmowania swych obowiązków obywatelskich dopiero wychowywać.

Tą pracą wychowawczą zajmuje się w Polsce kilkadziesiąt organizacji. Każda z tych organizacji wychowuje obywateli na swoje kopyto, nie licząc się z tym, że nasze położenie i doświadczenie dziejowe wskazuje nam wyraźnie jaki typ obywatela potrzebny jest Polsce.

Związek Strzelecki od pierwszych chwil swej pracy w Niepodległej Polsce wyraźnie wy-

sunął jako ideał w swej pracy wychowawczej typ obywatela - żołnierza. W naszym przekonaniu ma to być obywatel łączący w sobie najbardziej pożądane w naszych warunkach cnoty obywatelskie i żołnierskie. Ma to być obywatel, który „nie ogranicza się do posłuszeństwa wobec postanowień władz państwowych, lecz dobrowolnie przyjmuje na siebie dodatkowe obowiązki”.

Przez długi czas nie rozumiano naszego ideału i wytykano nam militarystykę. Dzisiaj czasy się zmieniły. W innych państwach już dawno stworzono jednolite organizacje wychowania obywatelskiego i podporządkowano je kierownictwu państwowemu.

W ostatnich czasach i u nas zaszły zmiany na lepsze. W ubiegłym roku powstał z inicjatywy czynników państwowych i społecznych specjalny Komitet Koordynacyjny przy Wojsk. Inst. Nauk. Ośw. W skład tego Komitetu weszły organizacje społeczno - wychowawcze, współdziałające w akcji wychowania obywatelskiego. Komitet został powołany przede wszystkim dla koordynacji zamierzeń i scalenia działań organizacji p. w. i pokrewnych w zakresie wychowania obywatelskiego i skutecznej propagandy hasła obrony państwa.

Rezultatem paromiesięcznej pracy Komitetu jest opracowanie Wytycznych wychowania obywatelskiego dla organizacji społeczno - wojskowych. Celem zaznajomienia kierowników wychowania obyw. poszczególnych organizacji z myślami przewodnimi i wskazaniem tych wytycznych, odbył się w Warszawie w dniach 5 i 6 kwietnia kurs — konferencja kierowników wychowania obywatelskiego organizacji p. w. i pokrewnych. Obrady odbyły się w sali Rady Miejskiej w obecności 500 delegatów pod przewodnictwem Szefa W. I. N. O. płk. L. W. Koca, który podkreślił doniosłe znaczenie koordynacji prac nad wychowaniem obywateli w duchu jednego ideału.



Dnia 4 b. m. odbyła się w Centrum Wyszolenia Z. S. w Warszawie odprawa okręgowych referentów w. ob.

Na otwarciu zjazdu dłuższe przemówienie wygłosił dyrektor P. U. W. F. i P. W. gen. Olszyna - Wilczyński, który podniósł, że „konieczność skoordynowania akcji wychowania obywatelskiego z pracą przygotowawczą do obrony kraju nie ulega już dzisiaj żadnej wątpliwości. Nowoczesnego żołnierza polskiego dają — mó-

wił gen. Olszyna - Wilczyński — wychowanie, przysposobienie fizyczne i wyszkolenie wojskowe; w ujęciu naszej najwyższej władzy wojskowej nie stanowią te trzy problemy jakichś osobnych odrębności, lecz wiążą się i łączą w jedną całość w jednolitą szkołę żołnierza obywatela. Z tego też wynika potrzeba jak najżywotniej postawionego systemu koordynacyjnego”.

Na zjeździe wygłoszono pięć zasadniczych referatów. Uzasadniono w nich i rozwinięto najważniejsze wskazania wytycznych wychowania obywatelskiego, które niemal w całości pokrywają się z naszym dorobkiem. Nie krępuje to jednak swobody organizacji w rozbudowie programów ramowych w zakresie odpowiadającym ich charakterowi i działalności.

Chodzi głównie o to, aby podstawę wychowania obywatelskiego wszystkich organizacji stanowiły wspólne pojęcia i wspólne ideały, bo w ten sposób osiągnie się wielką zdobycz, jaką powinno być wytworzenie typu obywatela - żołnierza.

J. K.

ORGANIZATORZY DRUŻYN ORLĄT WOBEC ROKU SZKOLNEGO

Dokąd pójdą chłopcy, kończąc 7-mą klasę szkoły powszechnej? Oto pytanie, które należy sobie postawić przed zakończeniem roku szkolnego, a na które musimy sobie dać już wczesną odpowiedź, by nie stanąć wobec faktu dokonanego. Zaledwie trzy miesiące dzieli nas od tej chwili, kiedy chłopcy po raz ostatni zbiorą się w żytej grupie, która zdołała sobie już wytworzyć pewne zorganizowane formy współżycia, uwarunkowane czy to okolicznościami czysto szkolnymi, czy też atmosferą koleżeńską.

To zjawisko, że ława szkolna, czy też pokonywanie wspólnych trudności dla jednego celu, jakim była dobra nota, zorganizowało chłopców ale w sensie szkolnym oczywiście, nie może być dla nas obojętne. Dlaczego w sensie szkolnym? Otóż możemy śmiało powiedzieć, że aczkolwiek w klasie w okresie szkolnym chłopcy tworzyli zorganizowaną grupę, to ta grupa tak długo trwała, jak długo przymus szkolny nakazywał im uczęszczanie do szkoły, i jak długo był wspólny cel do osiągnięcia. Z chwilą kiedy przymus szkolny traci swoją obowiązkowość a cel zostaje osiągnięty, grupa rozpada się. Jest to zresztą prawo zupełnie naturalne, prawo współżycia i tworzenia się gromady.

W bardzo małych wyjątkach koledzy kontynuują swoją przyjaźń, stworzoną kiedyś przedtem w warunkach osiągnięcia jakiegoś celu nawet ubocznego.

Z chwilą ukończenia szkoły żyta grupa rozpada się a tylko w małych wyjątkach, jak wyżej wspomniano, część młodocianych dalej prowadzi współżycie. Dopiero jakieś nowe cele i warunki spowodują, że poszczególni chłopcy stworzą ale już nową gromadkę, a potem grupę odmienną od pierwotnej, samorzutną, a często oryginalną.

Z tego wynika, że szkoła nie daje młodocianym warunków do dalszego gromadzkiego współżycia, względnie nie może jeszcze sprawy tej, tak zresztą ważnej, ująć w pewne ramy i w okresie szkolnym nadać pęd do dalszego zachowania formy tej samej gromady.

Wprawdzie coś tam się mówi o Kołach Byłych Wychowanków, ale narazie to jeszcze zdaje się jest poddane próbom życia. Fakt jest, że nie wiemy nawet co się dzieje z młodocianymi, którzy kończą szkołę powszechną. Nikt się nimi nie interesuje, a jeżeli nawet, to pod kątem widzenia potrzeb starszych. Nie może to być obojętne organizatorom orląt.

Okres przed zakończeniem roku szkolnego jest dla nas ważny z dwóch powodów: a) dla zorganizowania z chłopców opuszczających szkołę drużyny orląt, względnie przygotowania nowego narybku dla istniejących już drużyn, b) jako organizatorzy życia młodocianych mamy obowiązek nie puścić ani jednej duszy młodocianej na pastwę ulicy. Ważny jest też dlatego, że jak powyżej wspomniano, na podstawie zorganizowanego życia szkolnego zdołamy szybciej trafić do chłopców i sobie ich skaptować, a przez to unikniemy w przyszłości wysiłku w pracy nad chłopcem, na którego już w stu procentach wpłynęła ulica.

Z kolei staniemy nad pytaniem: jak można wejść do chłopców w tym okresie i jak sobie ich zjednać czy zachęcić do dalszego życia gromadzkiego, ale w drużynach orląt. Zanim odpowiemy na to pytanie ustalimy sobie: do których chłopców podchodzimy. Napewno, że do tych, którzy kończą 7-mą klasę szkoły powszechnej. Czy tylko? Nie, i do tych, którzy już opuszczają mury szkolne a nie ukończyli 7-mej klasy, z powodów takich, jak przekroczony wiek i t. p. oraz do tych którzy kończą 6-tą klasę, a przecież będą się włóczyć podczas wakacji.

A zatem mielibyśmy dwie grupy chłopców. Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, że ten, który zabiera się do tej pracy powinien mieć pewne przygotowanie organizacyjne. Jeżeli już nie prowadził orląt to przynajmniej czuje dyspozycję do zrozumienia i odczucia młodocianych.

W tej sprawie zaznaczyć należałoby, że w tym okresie będą mieli pole do pracy też powiatowi instruktorzy orląt, którzy już powinni zorganizować, jeżeli nie dwudniowy kurs informacyjny dla organizatorów drużyn orląt, to przynajmniej odprawę informującą o umiejętności podchodzenia do młodocianych. W wypadkach, gdyby zachodziła konieczność rozwiązania problemu okolicznościowego już podczas pracy, a organizujący nie mógłby sobie dać rady, wówczas też należałoby odnieść się do powiatowego instruktora orląt, który praktycznych rad udzieli. Nie można bowiem niefachowo, byle jak, rozwiązywać sprawy, bo to tylko robotę skrzywi.

Przejdźmy teraz do zagadnienia jak wejść do chłopców, którzy jeszcze chodzą do szkoły. Nie da się tego ująć w jednym artykule, dlatego poprzestaniemy na częściowym tylko omówieniu w niniejszym artykule,



Chór drużynowych orląt w Stanisławowie.

resztę zaś w następnych. Pracę w związku z wejściem do młodocianych ułatwią miałyby ten, który w danej miejscowości już prowadzi solidnie drużynę orląt, już był chłopcom jako „komendant” orląt znany.

Chłopcy sami chodziliby za nim. W innym wypadku należy porozumieć się z kierownictwem szkoły w tej sprawie, bez tego bowiem, do szkoły „wchodzić” nie można. Na pierwszy raz należy zapowiedzieć chłopcom, że urządzimy w niedzielę jakąś zabawę lub wycieczkę, na której zabawimy się w wojsko. Kto chce, może przyjść. Może z początku przyjdzie mało, zrażać się tym nie należy, ponieważ dobrze przeprowadzona gra lub zabawa, mile spędzony czas, drugim razem więcej chłopców skupi (jeden drugiemu zresztą o tem powie). Trzeba wyczuć co chłopcom będzie „przypadało do gustu”, to jest najważniejsze. W szkole, w której brak piłki wystarczy jej dostarczyć, a chłopców mamy u siebie. Największą atrakcją będą gry polowe nawet zaimprovizowane („w złodzieja i żandarma”). One najbardziej trafią do chłopców. Chodzi nam



Zabawy świetlicowe orląt w Stanisławowie.

bowiem w tym okresie o stworzenie przywiązania na podstawie rozmaitych zabaw.

Takich zebrań na zabawy czy „łazikowanie“ nie należy często organizować. Najwyżej raz na tydzień, po wioskach w niedzielę, kiedy chłopak ma najwięcej czasu. Chłopcy, którzy raz będą na takim zebraniu, starać się będą stale przychodzić.

Nie można obiecywać chłopcom tego, czego nie będzie można dotrzymać: nie robić długodystansowych projektów, ot tak, na raz następny możemy zagrać sobie lub pójść do lasu, albo „do tego kamienia co to djabeł przyniósł“, i t. p. Zasada jest, dać chłopcom wiele przeżyć a czasem zamykać oczy nawet na ich psikusy. Moralizator nie będzie u nich miał miejsca. Donoszenie

kierownikowi szkoły o wybrykach chłopców na tych zebraniach nie będzie celowe, ponieważ chłopcy dojdą do przekonania, że mają do czynienia z umową zawartą między organizującym a kierownikiem szkoły. Bowiem trzeba wiedzieć, że więzy szkolne i osoba nauczyciela bardzo krepują chłopców. Chłopcy niejednokrotnie urządzają psikusy, ale nie ze złej woli lecz z wybujałości fantazji i chęci dania upustu swojej nadmiernie młodzieńczej energii.

Zebrania można urządzać w szkole, ale można też urządzać i w miejscach zaprojektowanych przez chłopców, n. p. na rozdrożu, na mostku, pod krzyżem i t. d.

J. Fortuna.

(C. d. n.).

JAK SZEWEC JAN KILIŃSKI MOSKALI Z WARSZAWY WYPĘDZIŁ

Niespokojna, pełna oczekiwania i nadziei jest Warszawa w kwietniu 1794 r. Na widok moskiewskich żołnierzy zapalają się w oczach warszawskich mieszczan groźne ognie, niczem błyskawice poprzedzające uderzenie gromu.

Stolica kraju w niemałym pohańbieniu. Rządzi w niej bowiem jak szara gęś wszechwładny poseł rosyjski — Igelstrem. Zaciskają się więc w głuchej pasji twarde pięści rzemieślników i mieszczan. Trudno strzymać w spokoju, gdy od Krakowa nadchodzą wieści o powstaniu naczelnika Kościuszki, o słowach jego przysięgi złożonej na wierność narodowi, o zwycięskiej batalii rozegranej pod Racławicami, i gdzie się tak setnie wstawili chłopscy kosynierzy.

Czeka więc z niecierpliwością lud Warszawy na znak, na sygnał. Spoglądają młodzi czeladnicy i terminatorzy na starszych. A majstrowie radzą. Opuszczają nieraz warsztaty i sklepy na całe dnie. Przepadają gdzieś po nocach. Radzą gromadnie, pospólnie, w gronie cechowych przyjaciół i kumotrów.

Nie sprawy rzemiosła zasnuwają chmurą zamyslenia poorane zmarszczkami oblicza. O rzeczach publicznych, o pohańbieniu ojczyzny i stolicy mówią starzy majstrowie. Nie ścierpi dłużej dumny mieszczanin warszawski butnego panoszenia się rosyjskiego najeźdźcy. Tylko czekał, aż na grzbiet moskiewskiego żołdaka posypią się ciężkie razy twardych rąk, co, oderwawszy się od szewckich pociągłych i rzeźnickich toporów, ujmą za szable i karabiny.

Wre więc i burzy się niespokojnie ulica warszawska. A tu jeszcze zdala nadlatują echa czynów naczelnika Kościuszki. Czuje lud stolicy, że i jego chwila nadchodzi. Trza się więc

do niej godnie przygotować. Z zapałem, ale i rozważnie. Bo robota nie może być byle jaka, partacka. Albo się to nie jest warszawskim majstrem cechowym, czeladnikiem, terminatorem?..

Co młodszy szykują się po cichu do walnej rozprawy. Coś tam kuja wieczorami młodzi towarzysze sztuki kowalskiej. Ale chyba nie podkowy... Już raczej jakieś okrutne szabliska czy groźne żelazne palice, co to nimi i woła ubił byś jednym ciosem. Wszystko się przyda.

Gorąca jest krew warszawska. Odczuwają to na swej skórze żołnierze moskiewscy, co się nieopatrznie samotnie, albo i samotrzeć, zapuścili w głąb wąskich uliczek staromiejskich. Oberwał tego po łbie i po grzbiecie niejeden z wymusztrowanych moskali, gdy tak zechciało mu się łązić po Pivnej, po Rybakach, po Szerokim i Wąskim Dunaju, po Rycerskiej. A tego gźmoca warszawskie pięści. Dobrze jeszcze, że się z życiem ujdzie i schroni pod opiekę bańnetów patrolu, co się po mieście włóczy i „porządku pilnuje“.

Starsi niby to młodzież uspakajają, niby to karcą, ale po cichu to się tylko pod wąsem uśmiechają. „Ho, ho... Widać, że żywie w młodym pokoleniu i szczerzy duch patriotyczny i prawdziwa do bitki ochota... Ano — da się i jedno i drugie należycie wykorzystać“.

Głośno jest w tym czasie po sklepach i warsztatach, po stancjach mieszkalnych i traktierniach o imci panu Janie Kilińskim. Tęgi z niego rzemieślnik i godny mieszczanin z Wąskiego Dunaju. Nie prosty szewc to, ale artysta prawdziwy w swym fachu. Takich butów czy balowych pantofelków, jak te, co z pod jego ręki wychodzą, nie powstydziliby się najpierwsi mi-

strzowie, co w Europie przy dworach królewskich obsypani złotem chodzą.

Wie lud warszawski, że szewc Kiliński nie na darmo zaniedbuje ostatnimi czasy swą robotę przy kopycie. Ważą się tu bowiem rzeczy wielkie, niecodzienne. Z samym naczelnikiem Kościuszką ma się porozumiewać imię Kiliński, jak też uderzyć z mieszczaństwem stołecznym, gdy chwila będzie po temu odpowiednia, na Moskala.

Szewcy — wiadomo — to naród uparty i zacięty. Lepiej z nimi nie zadzierać, bo tego można po grzbiecie oberwać. Ale nie tylko szewcy szykują się do rozprawy. Albo to inne zawody gorsze? Mówią też powszechnie, choć po cichu: na ucho, o tym, że mistrz rzeźnicki Sierakowski w wielkiej jest komitywie i zażyłości z Kilińskim i że obaj plany jakichś powstań przeciwko Moskwie szykują. A daj im Boże zdrowie za te ich zacne i dobre myśli... Młodzi myślą, że dość już zwlekania i że czas byłby wziąć się do świątecznych porządków w Warszawie, jako że to właśnie nadchodzi Wielkanoc 1794 roku. Szykują się więc zapalczywie do trzepania... moskiewskiej skóry.

A Kiliński nic tylko po ludziach chodzi, obraduje, tłumaczy, rozprawia. Widać, iż szykuje swoje mieszczańskie wojsko do walnej rozprawy. Tworzą się milczkiem grupy, niby jakoweś kompanie czy plutony. Na czele każdej stają co doświadczeni i większym się wśród towarzyszków mirem cieszący. Wyciągają mieszczańskie z alków, schowków i strychów jakoweś bronie: pałasze, stare strzelby, pistolety. Teraz ulica warszawska czeka już tylko na znak, na okrzyk: „Na Moskala!”

Rozbrzmiewa on wreszcie w wielkim tygodniu, tuż nieomal przed świętem Zmartwychwstania. Szczupłe siły regularnych wojsk polskich, stacjonowanych w Warszawie, uderzają w dn. 17 kwietnia 1794 roku na Rosjan.

Brzmi nareszcie zdawna oczekiwany okrzyk: „Na Moskala!” Podchwytuje go ulica warszawska, wypełniona tłumem mieszczaństwa, rwącego się do walki.

Nie na marne poszły wysiłki i przygotowania szewca Kilińskiego i rzeźnika Sierakowskiego. W pierwszym rzędzie staje bitna i pełna animuszu młodzież cechowa. Odczuwa się na gwałt potrzebę broni. Ulica żąda karabinów i amunicji.

Z wszystkich dzielnic Warszawy napływają tłumy ludu, prowadzonego przez przewodników, wtajemniczonych w działanie spiskowe. Rozpoczyna się walka w wielu punktach Warszawy. Ulice rozbrzmiewają hukami wystrzałów, okrzykami i bitewnym zgiełkiem.

Okrutnie zajadłe jest mieszczaństwo stolicy. Nie lękając się regularnego wojska idzie



Pomnik Jana Kilińskiego w Warszawie.

śmiało pod gradem pocisków karabinowych. A niech tylko dojdzie do walki wręcz, pierś w pierś, a wnet poznają Moskale jak smakuje cios warszawskiego rzemieślnika.

Mimo braku jednolitej komendy i jasnego planu działania orientują się walczący jak razić wroga. Znający doskonale wszelkie zakamarki swego ukochanego miasta to zjawiają się niespodzianie na nieprzyjacielskich tyłach, to rażą moskiewskie wojsko z góry, z za węglów, wszędzie, gdzie się tylko da.

Rozgrzewa się coraz bardziej do walki warszawskie mieszczaństwo. Już nie tylko młodzież cechowa, jak w pierwszej chwili, wylega na ulice. Gromady, pełne niezwykłego zapachu, uderzają coraz liczniej na nieprzyjaciela. Wszędzie widać piękną rycerską postać w czamarze i rogatywce, jak z szablą w rękę zażrzuwa do boju. To Jan Kiliński walczy z swym „mieszczańskim wojskiem”. Obok niego potężny Sierakowski z zastępem groźnych rzeźników.

Nie mogą wytrzymać wojska moskiewskie tej furii i tego naporu, z jakim atakują szczupłe siły polskiego żołnierza znakomicie i walnie wspomaganego przez ofiarne i bitne zastępy warszawskiego mieszczaństwa.

Moskale są wyraźnie zaskoczeni i zdeorientowani. Nie przypuszczali widać nigdy, że warszawscy szewcy, krawcy czy rzeźnicy potrafią bić się jak stary doświadczony żołnierz. I czy wogóle przypuszczali, że „potulny” w ich

mniemaniu mieszczanin stołeczny chwyci znie-
nacka za oręż i zacznie nim tak skutecznie razić?

Po niespełna dwudniowych walkach ulic-
nych stolicy była wolna. Wróg wycofał się po
za rogatki Warszawy. Lwia część zasługi za ten
sukces spada na ludność miasta, ofiarne mieszc-
zaństwo polskie, walczące pod wodzą szewca

a potem pułkownika wojsk polskich — Jana
Kilińskiego.

Podobnie jak kilkanaście dni przedtem
chłop polski odznaczył się na polu walki pod
Raclawicami, tak teraz polski mieszczanin czy-
nem okazał swe uczucia patriotyczne i wrodzo-
ną żołnierską umiejętność. *St. Sm.*

Z CYKLU PRACA LUDZKA.

NARODZINY BUTELKI.

— Pojedziecie dzisiaj obywatelu — rzecze redaktor
naczelny, spoglądając z wysokości olbrzymiego biurka re-
daktorskiego przez groźne błyskające szkła okularów
na mnie słuchającego w skupieniu — pojedziecie zoba-
czyć jak wygląda praca w hucie szklanej. Zainteresu-
je to was z pewnością.

— Interesuje mnie wszystko co jest życiem —
zauważyłem skromnie. Wszystko co w granicach naro-
dzin i śmierci się mieści. A więc praca ludzka najbar-
dziej może, jako najsilniejsze jego objawienie.

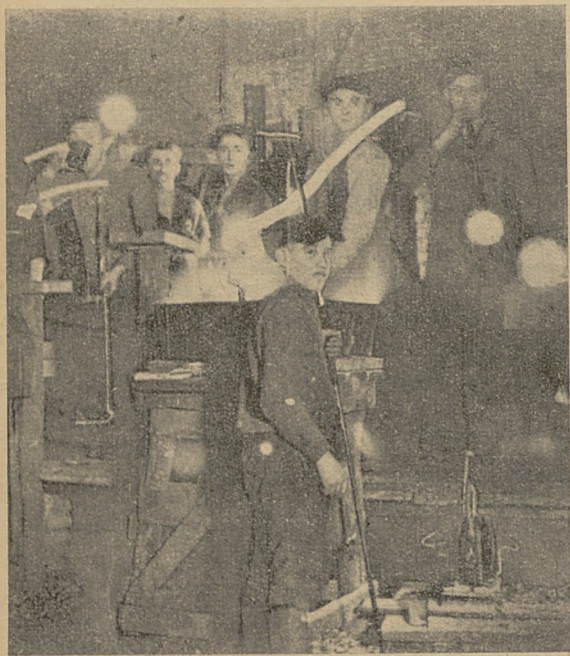
W porządku. Weźcie z sobą fotografa. Bez dobrych
zdjęć artykułu nie przyjmę choćbym w nim widział
utwór godny geniusza.

Na kiedy ma być gotowy?

— Huty dzień i noc czynne. A więc — na wczoraj.

— Zgoda. Zrobi się. Pojęcie czasu jest względne.

Po czym wieczorem wyciągnąłem zdumionego foto-
graфа z objęć młodej małżonki i ruszyliśmy w stronę
najbliższej po drodze huty szklanej.



...Na tle płonącego, roztopionego szkła, gną się i wiją
czarne, pótgnące postacie ludzkie...

Błoto ślapią i czlamcze pod nogami. Wyciągam no-
gę z czarnej mazi i ze smutkiem pograżam ją jeszcze
głębiej. Machnąłem ręką na wszystko. Na deszcz, śnieg,
błoto, chlupanie w butach, pociąganie nosem. Ale sło-
wo się rzekło. Brniemy z rezygnacją w porze nocnej do
huty szklanej „Przeszłość”.

Ciemno tak, że jakby cię kto nagle kijem dzielił
nie wiedziałbyś komu dziękować. Nie odróżnić trotuar
to, środek ulicy czy wogóle ulicy brak. Idziemy są-
dząc z pozorów — naprzód, zapadając się coraz po pa-
chy w bajora. Fotograf, blondyn o ponurym wyrazie
twarzy klnie szpetnie. Przynajmniej przez to wiem, że
się jeszcze nie zagubił w mroku. Widać, że przekleństwa
pomocne są czasem jak zdrowaśki. Żywego ducha wokół.
Omszałe chałupiny po bokach ulicy przysiadły i śpią
siodko, przysłoniwszy oczy powiekami firanek.

Wreszcie w jednym oknie migoce światło lampki.
Ktoś czuwa. Ktoś, kto oparłszy głowę na dłoniach, schy-
lony nad stołem siedzi zapatrzony w noc czarną. Siedzi
i czeka. Na co sam nie wie.

Pukamy w okno. Obywatelu — pytamy postać wy-
chylającą się ku nam, groźnie błyskającą białkami oczu.
Jedyny z tego miasta, którego koniec świata nie zasko-
czy we śnie powiedz nam, którądy do huty „Przeszłość”?

Prosto — słyszymy. Prosto psia wasza taka nie
taka, włóczykije...

Reszta słów wnika w mrok.

Fotograf klnie coraz głośniejsze. Zupełnie go rozu-
miem i współczuję. Trzy aparaty przewiesił przez ra-
mię, w jednym rękę walizkę z przyborami, w drugim
statyw dźwiga.

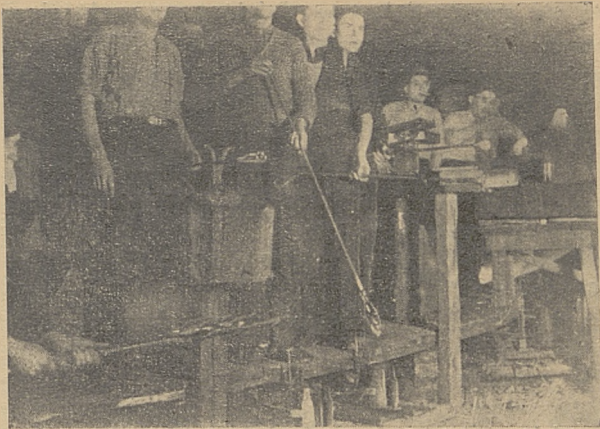
Wreszcie... Z daleka biją światła w czarną prze-
strzeń nocy. Z daleka głoszą, że zaraz za wrotami coś się
dzieje, coś się tworzy.

Huta szklana „Przeszłość”.

Obskoczyli nas przy wejściu brodaci struple. Po co?
Do kogo? Na co? Zalatują wokół, oglądają na wszyst-
kie strony. Wreszcie sam pan dyrektor techniczny, te-
lefonicznie zaalarmowany się przytoczył sapiąc, zmę-
czony dźwiganem własnego tłuszczu.

Na wiadomość, że ze „Strzelca” przyszliliśmy obej-
rzeć, pozwolił łaskawie chociaż trochę zdziwiony porą
niestosowną.

Ale fotografować nie można. Nie pomogły tłoma-
czenia i prośby. Trza było zostawić u wejścia trzy apa-
raty i statyw i walizkę z przyborami. Tylko Leika ma-
ła powędrowała do kieszeni i cicho w niej przywarła.



Tak się robi „monopolki”.

Weszliśmy do hali pierwszej.

Tak sobie pewno babcie stare wyobrażają piekło, gdy tęsknie się zagubią w wspomnieniach młodości...

...Na tle płonącego, buchającego żarem z pieców olbrzymich roztopionego szkła gną się i wiją czarne, półnagie postacie ludzkie. Migocą w powietrzu kule świetliste, sople, kręgi błyszczące jak srebro najczystsze.

Monopolki robią — objaśnia usłużnie dyrektor techniczny. Patrzymy uważnie. Nic się połapać nie można. Widać tylko ręce migające nieprzerwanie, bez chwili wytchnienia, czasami twarz bladą, która ku nam na sekundę się zwróci i niechętnym wzrokiem po nas się prześlizgnie.

Uczepiłem się wzrokiem jednego z nich, młodego chłopca o oczach przymkniętych, nie widzących jakby. Patrzę.

Piszczel żelazną zanurzył w oślepiającej białym blaskiem masie płynnego szkła. Kulkę świecąca jak brylant ogromny na koniec jej nabrał. Kręcąc w powietrzu jednym przeżutem ramion na mokrej płycie umieścił i kręcąc i dmuchając ją kulę stylować. Rosła, pęczniała, nabierała kształtu. Wzniósł piszczel w górę i dmąc weń jak trębacz kulę coraz piękniejszą, coraz większą tworzył, by potem o puściwszy w dół, wachlując w powietrzu w ruchliwy sopel ją zamienić. Nie patrząc wcale jak biegacz w sztafecie piszczel z ręki do ręki przekładał drugiemu, sam inną chwytając, by robotę od nowa powtórzyć. Po raz wielotysięczny pewnie. Tamten stylował raz jeszcze. Wprawnymi, niezawodnymi ruchy kształt jej należy nadawać zaczął.

W końcu w formie ją przyciśnięciem nogi zamkniętej ścisnął i kręcił i dmuchał.

Przestygła nieco odrzucił od reszty niekształtnej szkła na ostrym koncie żelaza i przerzucił do majstra, co na stołeczku przy kleszczach z powagą u samego wylotu pieca ognistego urząd swój sprawował. Ten koniec butelki w piecu zanurzył, roztopił i w kleszczach ściągnął, by szyjkę jej odrobić.

Butelka była gotowa

Pochwycił ją chłopak z węgli, na których spoczęła i do pieca dla hartu już tylko na sitku przesunął.

- Tam się zahartuje, stwardnieje, uszlachetni.

Idziemy dalej.

Przy następnym piecu poważniejsza robota się odbywa.

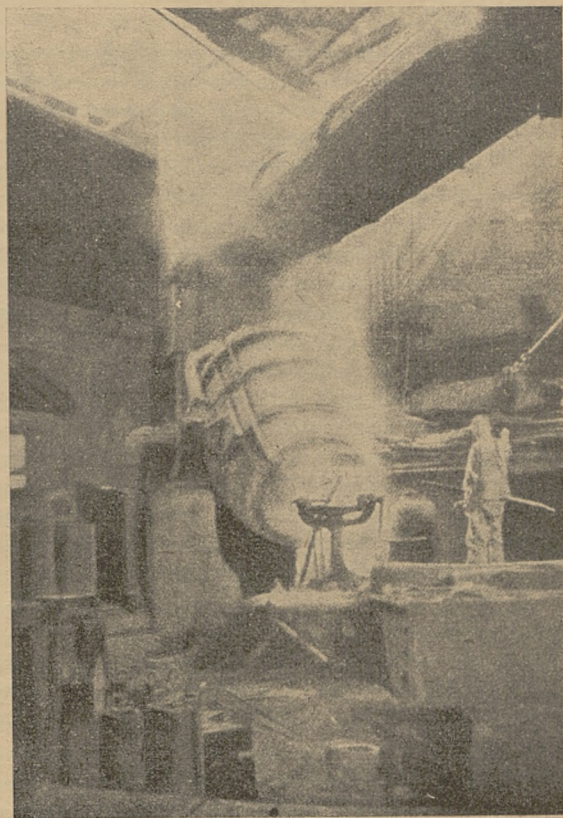
Na małym kawałku miejsca, na którym jeden człowiek ledwo zamachnąć się mógłby częścią ludzi się mieści. Sześciu ludzi jak sześć maszyny, precyzyjnej części składowych. Na bandzie robią. Wielkie flaszki apteczne.

Ani sekundę zapóźno, ani sekundę zawcześniej. Piszczel z rąk do rąk krąży. Sześciu ludzi jak sześć kół w maszynie. Nikt się nie zawaha w swym ruchu na moment choćby, nikt na cal choćby od form dla swych rąk w powietrzu wyznaczonym jakby — nie zboczy. Ręce wznoszą się tam i spowrotem, naukos, w dół, w górę, Migocą bańki szkła jak bańki mydlane.

Od dzieciństwa na dmuchacza się uczyć trzeba — objaśnia uprzejmie dyrektor techniczny. — Hutnicy z ojca na syna.

Tutaj raz nabrać szkła nie wystarcza. Trzech pomocników szykuje bańki. Nabiera, oblacza, wydmuchuje i wieszka piszczel na ścianie. Przestygły chwytają majster w swe ręce nieomylnie. Nabiera poraz drugi szkło i swój majsterski kunszt święcić poczyna.

Kula mieni się i wiruje w powietrzu. Kręcąc się jak bąk z okrągłej płaską się staje, rozdyma się i kurczy, olbrzymieje, wydłuża. Wydechem płuc dmuchacza i jego tajemnymi ruchy z niekształtu jej nowy kształt się rodzi, by w formie spocząć i wyjść z niej w stanie doskonałym. Już tylko wodą sregować ją przyjdzie, by potem do majstra szyjki szklane przyklepiającego powędrować mogła.



...Migają w powietrzu świetlane kule...

Mijamy powoli piec za piecem, zostawiając za sobą ludzi w pracy nieprzerwanej trwających. Migają w powietrzu świetlane kule, wysmukłe sopły, o kształtach przewężonych w środku jak panna. Tam się tworzą kłosze do lamp, przeróżne butelki, aparaty, lejki, zlewki. Mijamy powoli ludzi, którzy już godzin wiele nie zatrzymali się na chwilę choćby w nieustannym, celowym, nieomylnym ruchu.

* * *

Ranek świtał gdyśmy brnęli przez kałuże do dworca. Fotograf kłął. Przez ramię miał przewieszzone trzy aparaty. W rękę dźwigał statyw, walizkę z przyborami.

— Zobaczyłeś jak się robi butelkę — spytałem się go.

Zobaczyłem więcej — odrzekł. Ciężką pracę ludzka...

Leszek Korzeniewski.

FELIETON AKTUALNY

Minęło parę tygodni od mego ostatniego felietonu, a wraz z nimi przeminęło i przeniosło się do kraju „Zapomnienia“ wiele wydarzeń, których dziś już nikt nie nazwie aktualnymi. Muszę je odzalać, a wraz z mną uczynią to Czytelnicy, zadający sobie trud czytania moich proroctw na przyszłość i krytyki teraźniejszości oraz przeszłości.

Poszukując ciekawych wrażeń możemy wybrać się w drogę, błądząc piórem po papierze, a myślą po szerokim świecie.

Niezwykle ciekawe wypadki rozegrały się ostatnio w Belgii. W państwie tym, poza wielu innymi stronnictwami, istnieje partia polityczna nazywana „Rex'em“ (od pierwszych słów deklaracji ideowej „Christus Rex... t. zn. Chrystus Król...”). Partię prowadzi młody, utalentowany i energiczny przywódca Degrelle. Rexisci, uważani przez niektórych za faszystów czy hitlerowców belgijskich, są zwolennikami rządów silnej ręki, dążą do zjednoczenia i skonsolidowania obywateli Belgii, (zamieszkiwanej przez ludność mówiącą językiem francuskim — Wallonów i zbliżonym do holenderskiego — Flamandów), pragnąc dokonać wielu zmian, przeprowadzając je zgodnie z duchem religii katolickiej. Rzecz irna, iż interpretacja zasad kościelnych jest bardzo dowolna i fakt ten zniechęca do nich duchowieństwo. W każdym razie ten ostatni wzgląd różni ich poważnie od nacjonalistów Italii i Niemiec. „Rex“ zdobył sobie wielu zwolenników, nie cieszy się jednak sympatią ogółu z racji zbyt bezwzględnych i radykalnych poczynań.

Degrelle, w jakiś czas po wyborach do sejmku, zapragnął sprawdzić zmianę nastrojów w poszczególnych okręgach, licząc na wzrost cyfry swych sympatyków. Przez sprytnie posunięcie sprowokował rząd do ogłoszenia nowych wyborów w stołecznym mieście Brukseli. Rękawicę podjął sam premier van Zeeland, zwolennik polityki liberalnej, niezwiązany z żadnym stronnictwem politycznym. Piękny ten pojedynek, przeprowadzony na równych prawach między rządem a najpotężniejszą partią opozycyjną, zakończył się klęską rexistów. Bel-

gia nie pragnie dyktatury. Przebieg rozgrywki obserwowany był z uwagą przez „szarego człowieka“ i przez rządy państw europejskich, dla których ten czy inny wynik powtórnych wyborów, miał być sygnałem zmiany kursu politycznego.

— Potężny Albion nie może wybrnąć z trapiących go ustawicznie kłopotów kolonialnych. Zaledwie uspokoiło się nieco w Egipcie, zaledwie zdołano przeprowadzić jaką taką pacyfikację militarną Palestyny, odezwały się Indie. Pojawił się jakiś osobnik, nazywany obecnie „szalonym fakirem z Ipi“, głoszący „świętą wojnę“ z najeźdźnikami. Już całe pogranicze indo-ał gaiskie usłuchało wezwań świętego proroka i podniosło żagiew buntu. Wciągnięte zostały do walki garnizony angielskie. Udział w potyczkach bierze lotnictwo i broń pancerna. Poległo wielu oficerów i żołnierzy brytyjskich, natomiast straty nieprzyjaciół są na razie nieznaczne i widoków na spokój nie ma. Przerwane zostały gry w golfa, polo i tenisa, — brytyjczyk poszedł spełniać swój obowiązek, podtrzymywać szacunek i respekt dla „Starej Anglii“.

W Z. S. R. R. nowe wydarzenia są starymi ze względu na swoją jednostajność. Czerwoni dygnitarze kopią pod sobą dołki, oskarżają się wzajemnie o różne zbrodnie antykomunistyczne i z procesami czy bez procesów wysyłają się na tamten świat lub w lepszym wypadku do więzienia czy na emeryturę. Ostatnio aresztowany został były szef wszechwładnego G. P. U., ostatnio komisarz spraw wewnętrznych, Jagoda. Oskarżenie zarzuca mu lekkomyślne trwonienie grosza publicznego na hulanki, burżuazyjny zmysł oszczędności zmuszający go do przelewania pieniędzy do własnej kieszeni i wiele innych grzechów. Zasadniczą przyczyną aresztowania jest wzrost wielkości i znaczenia Jagody do tego stopnia, że dyktator Stalin był zmuszony poważnie z nim się liczyć. Warto zwrócić uwagę na stopę życiową komunistycznych komisarzy. Np. taki Jagoda potrafił przemarnować blisko milion dolarów, ściągniętych podatkami z ciężko pracujących robotników i włościan.

Zawiść ludzka wielką odgrywa rolę na świecie. Młody i ujmujący ks. Mikołaj, brat króla rumuńskiego Karola, zyskał sobie zbyt dużą popularność i to zadczydowało o strąceniu go z wyżyn dostojęństwa i urzędów do poziomu szarego śmiertelnika. Powodem oficjalnym nielaski było małżeństwo księcia z jakąś niską urodzoną damą dworu, bodaj że rozwódką. Obyczaje rodzin królewskich, nakazują wyprzeć się takiego z członków rodziny, który wbrew tradycji idzie za głosem serca. W tym wypadku jednak król Karol był niezwykle surowym i pozbawiając brata praw członka domu panującego, pozbawił go jednocześnie wszystkich urzędów oraz wykreślił ze stanu armii. Król Karol był swego czasu również młodzieńcem lekkomyślnym i wstąpił się swymi miłosnymi perypetiami z panią Lupescu. Czemuż tedy stał się nagle tak niewyrozumiałym na grzechy bliźnich? — Nic innego, tylko obawa dreczyła serce królewskie, obawa, iż tron po nim oddziedziczyć może nie nieznaną bliżej ludowi syn, wojewoda Michał, ale lubiany ks. Mikołaj.

Z. Ż.

ROZBUDOWA OKRĘGU CENTRALNEGO STAJE SIĘ RZECZYWISTOŚCIĄ.

W Sandomierzu rozpoczęto prace wstępne przy obwałowywaniu Wisły, oraz prace przygotowawcze do budowy wielkich zakładów przemysłowych. Do robót tych, na skutek zatrudnienia wszystkich miejscowych i okolicznych bezrobotnych, zaangażowano 500 bezrobotnych z innych terenów woj. kieleckiego.

W dziale elektryfikacji rozpoczęto prace przy rozbudowie sieci wysokiego napięcia na odcinkach: Mościce — Starachowice i Starachowice — Warszawa. Wkrótce też podjęte będą w pełni prace przy budowie gazociągu, który prowadzić będzie z Roztok przez Kolbuszową i Tarnobrzeg do Sandomierza, gdzie przekroczy Wisłę, a następnie przez Ostrowiec do Lubieni, rozdziałając się dalej na odnogę zachodnią i północną.

Z projektami tymi wiążą się zamiary rozbudowy szlaków komunikacyjnych.

„BURZA” WEŻMIE UDZIAŁ W DEFILADZIE MORSKIEJ Z OKAZJI KORONACJI JERZEGO VI.

Ze źródeł oficjalnych dowiadujemy się, że na międzynarodową defiladę okrętów wojennych, która odbędzie się w ramach uroczystości z okazji koronacji króla Anglii Jerzego VI w Spithead, został wyznaczony O. R. P. „Burza”.

Nie jest to pierwszy występ reprezentacyjny tego okrętu na terenie zagranicznym. Przypominamy, że O. R. P. „Burza” uczestniczył już w kilku wizytach oficjalnych, m. in. w Finlandii, Szwecji, Danii, Niemczech i ZSRR.

Tym razem będzie on reprezentował polską marynarkę wojenną wśród okrętów wszystkich flot wojennych świata.

HOŁD ZASŁUDZE.

W tych dniach odbyło się w Wilnie zebranie Koła Wilnian przy Tow. Rozwoju Ziem Wschodnich. Na zebraniu nadano godności członków honorowych koła gen. Lucjanowi Żeligowskiemu i marszałkowi Senatu Aleksandrowi Prystorowi, jako najbardziej zasłużonym dla rozwoju kulturalnego i gospodarczego Wileńszczyzny. Na tym samym zebraniu nadano marszałkowi Senatu Aleksandrowi Prystorowi godność prezesa honorowego Koła Wilnian w Warszawie.

TYMCZASOWE PREZYDIUM ORGANIZACJI WIEJSKIEJ O. Z. N.

W dn. 10 b. m. szef Obozu Zjednoczenia Narodowego, pkił. Adam Koc powołał tymczasowe prezydium organizacji wiejskiej O. Z. N. w następującym składzie:

Przewodniczący — sen. gen. Andrzej Galica, członkowie — ks. prałat Wacław Bliziński, twórca wzorowej wsi w Liskowie, dr. Jan Stanisław Bystron, profesor Uniwersytetu J. Piłsudskiego, p. Włodzimierz Bzowski członek rady głównej Zw. Spółdzielni Rolniczych, dr. Jan Frelek działacz wśród młodzieży wiejskiej, pos. dr. Marian Gładysz, sen. Feliks Gwiżdż, pos.

inż. Jan Jedynak, b. wiceminister skarbu, pkił. Tadeusz Lechnicki, pos. Michał Łazarski, sen. Michał Róg, p. Sabina Stasiakowa prezeska Kół Gospodyń Wiejskich we Włocławku, pos. Leon Suchorzewski, oraz pos. Stefan Tatarczak.

ZNAMIENNY ARTYKUŁ „PRAWDY”

Ogólne zdziwienie wywołał artykuł „Prawdy”, dowodzący, że ludzie wierzący nie są wrogami rządu komunistycznego. Pismo podkreśla, że myśl tę należy wszczepiać w szerokie masy ZSRR. Artykuł „Prawdy” ukazał się w związku ze sprawą nauczycielki Pokrowskiej, którą wydano z zajmowanego stanowiska, oskarżając ją o pobożność, czego dowodem miał być fakt posiadania ikony. W obronie jej stanęła prasa, domagając się rehabilitacji i zwrócenia jej poprzedniego stanowiska.

SOWIETY WSPOMAGAJĄ RZĄD HISZPAŃSKI.

„Giornale d'Italia” (Italia) ogłasza artykuł o sowieckich dostawach wojskowych dla Hiszpanii.

Po dn. 20 lutego nadal przybywają ochotnicy sowieccy, których miejscem koncentracji jest Paryż, Tuluza i Marsylia. W ciągu ostatniej dekady lutego przeszło granicę hiszpańską w Perthuse 150 oficerów regularnej armii sowieckiej, przeznaczonych do szkolenia brygad międzynarodowych. W pierwszych dniach marca przybyło drogą lądową do Almansa 50 dział sowieckich. W okresie od 1 do 20 marca przybyło do Hiszpanii drogą powietrzną 10 sowieckich samolotów myśliwskich typu Gorkij, a równocześnie sygnalizowano z Małej Azji rychły wyjazd 105 samolotów sowieckich, płatowców bombardujących z załogą 210 pilotów, szkolonych od 3 miesięcy w Sowietach. 4 samoloty sowieckie typu Ant 6 wylądowały w Kbely na lotnisku pod Pragę Czeską, a w parę dni później wystartowały z lotniska pod Taborrem wraz z 10 samolotami czechosłowackimi do Hiszpanii.

Fakt ten, zauważa „Giornale d'Italia” — jest wyrazem przyjaznych stosunków, wytworzonych pomiędzy Moskwą a Pragę, dzięki paktowi czesko - sowieckiemu.

Sowieckie transporty morskie idą przeważnie z Sewastopola przez Odeseę, gdzie zabierają żywność i surowce. Dziennik wymienia 13 okrętów hiszpańskich, które w okresie od 27 lutego do 7 kwietnia przewiozły z portów rosyjskich do portów hiszpańskich oprócz amunicji 220 tanków, 245 dział, 26 samolotów i 130 samochodów.

PRAWIE PERPETUUM MOBILE.

Inżynier Antoni Lancos, Węgier, wynalazł po kilku latach eksperymentowania sprężynę, która dokona rewolucji w przemyśle mechanicznym, o ile sprawdzi się wszystkie nadzieje wynalazcy.

Nowy rodzaj sprężyny działa, jak perpetuum mobile na małą skalę, a więc założona do patefonu utrzymuje go w ruchu w ciągu kilku godzin bez nakręcania pownego, założona do zegarka utrzymuje go w ruchu 5 lat (!) bez nakręcania, można też puścić w ruch przy

pomocy tej sprężyny dynamomaszynę na przeciąg 12 godzin.

Jest to więc tanie źródło energii popędowej. Obecnie dokonywane są w Budapeszcie próby ze sprężyną inż. Lancosa.

LOT TOKIO—LONDYN.

26-letni pilot samolotu, „Boski wiatr”, Masaaki Inuma wylądował dn. 9 b. m. wraz z towarzyszącym mu w charakterze radiotelegrafisty drugim lotnikiem japońskim Kenji Tsukagoszi (Kama Kaze) o godz. 3.30 po południu, na lotnisku w Croydon.

Lotnicy japońscy, wylecieli z Tokio w poniedziałek o godz. 5.12 po południu według czasu brytyjskiego.

Dystans Tokio—Londyn (16 tys. km.) przebyli w 94 godz. 18 min., zdobywając niebывały dotychczas w dziejach lotnictwa rekord lotu długodystansowego. Lotnicy sami wyznaczili sobie 100 godzin jako minimum

dla odbycia przelotu. Ich własne obliczenia zostały więc przekroczone o blisko 6 godzin. Faktyczny przelot zajął 50 godzin czasu, z czego wynika, że lotnicy lecieli z przeciętną szybkością 320 km. na godzinę. Na sen lotnicy zużyli 10 godzin, resztę zaś (34 godziny) zajęło czekanie, posiłki, zaopatrzenie techniczne, etc. Lotnicy żywili się podczas lotu jedynie gotowanymi ryżem.

Po wylądowaniu na lotnisku w Croydon, gdzie oczekiwał ich ambasador japoński, prawie cała kolonia japońska w Londynie i bardzo wiele publiczności angielskiej, lotnicy oświadczyli, że tylko pierwszego dnia lot był emocjonujący, a w pewnych chwilach nawet niebezpieczny, później zaś odbywał się spokojnie i niemal monotonnie.

Podniecenie zebranych tłumów angielskich było tak wielkie, że w chwilę po lądowaniu samolotu publiczność siłą wdarła się na lotnisko i otoczyła samolot, wiwatując na cześć lotników.

NOWINY SPORTOWE

MISTRZOSTWA PIŁKARSKIE LIGI.

Druga niedziela mistrzostw piłkarskich Ligi p. nożnej przyniosła następujące wyniki: Warszawianka—Cracovia 2:2, Warta—Garbarnia 3:1, Wisła—LKS 6:2, Amatorski KS—Ruch 3:1. Sensacją jak widzimy jest przegrana mistrza ligi z najświeższym członkiem Ligi Amatorskim KS z Chorzowa. Spotkanie to odbyło się na stadionie w Chorzowie przy czym widzów zebrało

się 15.000 co nawet jak na stosunki śląskie świadczy o ogromnym zainteresowaniu tym meczem ślązaków.

ROWERY Z MOTORKAMI KORZYSTAJĄ Z ULG PODATKOWYCH.

Przy interpretacji art. 1 dekretu Prezydenta Rzplitej o ulgach podatkowych dla nabywców pojazdów mechanicznych powstały pewne wątpliwości.

Wobec tego Min. Skarbu wyjaśnił ostatnio, że przepisy dekretu, dotyczące motocykli, obejmują również rowery, zaopatrzone w silniki o pojemności do 100 cm. Zatem nabywcom rowerów z silnikami przysługuje również prawo do ulg podatkowych.

REGULAMIN MARSZU SULEJÓWEK—BELWEDER.

Ukazał się stały regulamin marszu wydany przez okręg warszawski Zw. Strzeleckiego. Zainteresowani marszem mogą go otrzymać za drobną opłatą w komendzie okręgu Z. S. Warszawa al. Jerozolimskie 27.

BIJEMY W STRZELECTWIE NIEMCÓW, BELGÓW, RUMUNÓW I HOLENDRÓW.

W zawodach strzeleckich małokalibrowych zaproponowanych przez Zw. Sportowy Niem. Kolei Państwowych wyżej wymienionym państwom w pierwszej serii strzelań na odległość 50 m leżąc z broni młkb zwyciężył polski zespół KS Kadra Rembertów przed Steglitzer Sport Verein Niemcy. Zawody te odbywać się będą na tych samych warunkach przez trzy lata t. j. aż do olimpiady. Ciekawe kto też będzie faktycznym zwycięzcą po trzech latach. W każdym razie założenie zawodów bardzo ciekawe, zmuszające do stałego pogotowia sportowego.

STRZELCY NA KURSIE PIŁKARSKIM P. Z. P. N.

Na kurs przodowników piłkarskich PZPN, który odbędzie się we Lwowie, zostali zgłoszeni następują-



Co niedzielę, rybkę złowi
zawdzięczając rowerowi

PAŃSTWOWYCH WYTWÓRNI UZBROJENIA

Biurow Sprzedaży Rowerów

Warszawa, Krak. Przedmieście 11

cy piłkarze Z. S. z klubu Rypne—Hrabel, Popieluch, z Górki Stanisławowskiej Winkler i Bursz z „Raz Dwa Trzy” Skotnicki, Kossowski, Mattes.

SŁOCIŃSKI OPUSZCZA SZEREGI Z. S.

Znany biegacz Zagłębia Dąbrowskiego strzelec Słociński opuścił dotychczasowy swój klub KS. Strzelec w Sosnowcu i zarejestrował się w KPW Katowice.

WALNE OBRADY POLSKIEGO ZW. ŻEGLARSKIEGO.

W ostatnią niedzielę odbywały się w stolicy do-
roczne obrady P. Ż. Z. Prezesem związku został obrany
pkł. dpl. Kiliński, wiceprezesami komandor Petelentz i
pkł. Grodzicki sekretarzem p. Lisicki.

UNIEWAŻNIONY BIEG O MISTRZOSTWO POLSKI.

We Lwowie odbył się bieg naprzelaj o mistrzostwo
Polski. Bieg z powodu zmylenia trasy został unieważ-
niony. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną jak
związki okręgowe podchodzą do organizacji imprez kie-
dy nawet nie potrafią zorganizować głupiego biegu na-
przelaj. Przecież tydzień temu w Warszawie zawodni-
cy nie mogli znaleźć mety na finiszu biegu Raszyn--
Warszawa, a obecnie popisał się znów Lwów!

ZAKOŃCZENIE MISTRZOSTW KPW W GRACH SPORTOWYCH.

W niedzielę zakończone zostały w Warszawie
mistrzostwa KPW w grach sportowych. W siatkówce
zwyciężyło Wilno w koszykówce pierwsze miejsce
zdołała Warszawa.

JESZCZE ODBYWAJĄ SIĘ ZAWODY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM.

W Zakopanem odbyły się dwudniowe zawody w
kombinacji alpejskiej o memoriał sp. por. Wójcickiego.
Pierwszego dnia odbył się bieg zjazdowy na trasie
2800 m, drugiego siałom. W ogólnej klasyfikacji za oby-

DZIECKO KOMPANII

Nad Szczarą noc rozsunęła mgłą szczerzoną zasłō-
nę. Słychać tylko bulgotanie leniwie płynącej rzeczki,
szmer przechodzących wart, ludzki — nieludzki odgłos
gdzieś w oddali... Cisza jest tym głębsza i przenikliwsza,
bo nastąpiła po dniu strasznego gwaru i łomotu, prze-
rażających trzasków i huków, po dniu walki o pozycję
nad Szczarą.

Rzeka, spokojna, cicho bulgocąca rzeka nizinna
dzieli dwie linie za dnia wrogie, a w nocy przykryte
jednym, wspólnym ojcowskim płaszczem snu. Matka noc
i jej zawsze smutna siostra mgła są opiekunkami stru-
dzonych bojem żołnierzy po obu brzegach Szczary.

— Mamol! Mamol! Mamool!!! — Jakiś przeraźliwy,
łzami drgający, rozpaczły napęczniały dziecinny głos roz-
darł ciszę nocną i jakby rozsunał na chwilę gęstą mgłę.

— Mamol! Mamol... — Coraz ciszej, coraz wnikliwiej
przenikał głos dziecka.

1
kilometr



ale
SETKI
kilometrów



dwa biegi pierwsze miejsce zajął Schindler (Wisła 255
pkt. przed austriakiem Röhrlem 255 pkt. gorszy wy-
nik biegu) i Zajoncem SNPTT 258 pkt.

MISTRZOSTWO WARSZAWY W SZABLI.

W zawodach o mistrzostwo Warszawy w szabli
w których udział brało szereg wybitnych zawodników
z całego kraju, piękne zwycięstwo odniósł znany szermier-
z kpt. Segda wygrywając siedem walk na ogólną
liczbę ośmiu.

— Mamol... mamol... mamol..... — Już ledwie wyróż-
nić można poszczególne dźwięki. Głos dziecka zlewa się
w jedną jęklivą nutę, coraz ciszej... coraz słabiej... co-
raz dalej...

— Mamol!!! — Ostatnim jakby wysiłkiem wyrwał
się z piersi dziecka rozpaczliwy spazm przerażenia i
wdarł się w okopy po prawym brzegu Szczary, budząc
z odrętwienia zmożonego trudem dnia żołnierza.

— Hej Antek! Antek! A zbudź się no. Antek!

— A czego tam?

— Jakieś dziecko płacze.

— No, to niech płacze. Daj mi spać. O, la Boga,
la Boga... A to ci cholera — sam nie śpi, to drugim nie
da.

— Mamol!

— Józef, a kto to tak płacze?

— No, mówię ci przecież, jakieś dziecko.

— Ta skąd dziecko, taż no... Skąd dziecko? Ki diabeł? Przecież tam rzeka, a za rzeką Moskale... Skąd dziecko.

— Antek, a idź no zobacz.

Stękanie, narzekania: a licha, a djabeł tam po nocy się włóczy.

Szmer łamszonej słomy, dźwięk uderzonego bagnetem karabinu, gdzieś niepotrzebnie nawinęła się pod nogi manierka, tylko chyba po to, by zakłócić nocną ciszę i wyzwolić z piersi skwaszonego żołnierza świeżą porcję przekleństw, — ciężkie gramolenie się z rowu wysokiej czarnej postaci.

— Józek, a gdzie ty?

— Tutaj. No, chodź prosto.

— A gdzie to dziecko?

— A tam — ruch w kierunku Szczary — gdzieś przed nami.

Ciemno, choć oko wykol. Przekłęta mgła. Nic nie widać. Jak je szukać, przecież własnego nosa nie widać. — Świeci nie wolno, bo juchy Moskale zaczną strzelać. Nic nie słychać.

— Może to jaki wilkołak tak straszy?

— Eł, cicho bądź, gdzie tam wilkołak. Dziecko.

— Ale...

— Cicho no, psł!

— Mamo, mamoo... cicho jakby z pod ziemi dochodziło kwilenie dziecka.

Antek przeżegnał się, wziął karabin na ramię i stąpając cicho, jak mu tylko żołnierskie buciory pozwalały, poszedł w kierunku placu dziecka.

Józek wyteżył słuch.

Minuty gonią minuty..... Józkowi wydaje się, że to już cała wieczność minęła odkąd Antek wyszedł z rowu i nie wraca. Już dawno nie słyszy szelestu jego kroków. Już dawno nie słyszy kwilenia dziecka.

Antek nie wraca.

Antek — Antek — cicho nawołuje Józek.

Cisza..... A może mu się co przytrafiło? Może wpadł do rzeki? Może go Moskale zagarnęli? E, to by się bronil. On nie taki. (Takie myśli snuły się Józkowi po głowie).

— Antek!

Cisza.

Józek coraz bardziej przerażony. Wyteża słuch. Prawie cały wychyla się z wału rowu strzeleckiego. Sze-

roko otwiera oczy. W uszach aż szumi, z wytrzeszczonych oczu płyną łzy. Józkowi minuty wydają się godzinami. Coraz głębszy niepokój toczy jego serce, już sięga po trzewia. Przecież to poszedł jego wierny druh, jego przyjaciel, krajan, z jednej wsi.

— Antek!

Boi się głośno krzyczeć, by nie zbudzić zmęczonych trudem boju żołnierzy, a co gorsza Moskali, którzy by mogli postrzelić Antka.

Gdzie ten kapral, czemu go nie zmienia. Pewnie jucha zaspał. A ty stój, jak chochoł w pustym polu — myśli Józek i wciąż z cicha nawołuje Antka.

— Psiakrew, gdzie ten Antek? A czort go brał. Antek, durniu jeden!

— A co tam za krzyki?

— A, panie kapral, Antek poszedł po dziecko i nie wraca.

— Jakie dziecko? Coś ty zwariował? Stumaniał od tej mgły. A możeś hycłu jeden zasnął? A taki z ciebie żołnierz? taki legionista? Spisz skurczybyku na warcie.

— Ale nie, panie kapral, Antek naprawdę poszedł po dziecko.

— Mówże po ludzku. Po jakie dziecko?

Z rowu zaczęły wychylać się coraz liczniejsze głowy. Rozmowa przebudziła lżej śpiących, a ci, klnąc i gramoląc się ze swoich legowisk, pobudzili resztę towarzyszy. Wszyscy klną na czym świat stoi.

— Co Antek? Po dziecko? Po jakie dziecko? Ci-chajcie, niech Józek mówi. No, cicho tam! — Gwar coraz mniejszy, ale za to coraz głośniejsze sapanie.

— Bo to, panie kapral, ja usłyszał płacz dziecka — tam ku rzece — i Antek po nie poszedł. Już dawno. Oho, już kilka godzin. Teraz nic nie słychać i Antek nie wraca. Może się utopił... Antek!

Głos żołnierza jakiś dziwny, rozdygotany, jakby pełen łez. Słychać pociąganie nosem.

— Panie kapral, ja pójde po Antka.

— Siedz durniu jeden. Niedługo cała kompania rozlezie się. Tak, pewnie, bez rozkazu. Żołnierze idą do Moskali w gościnę... Utopił się... Dureń jesteś. Antek nie taki. Życie mu mile. Gdzie mu tam topić się, Tak poszedł bez rozkazu. Dam ja mu. Do rapor..... Ale cicho no, coś słychać.

Wszyscy wyteżyli słuch. Cisza przerywana pociąganiem nosów, głośnym, powstrzymywanym sapaniem i ziewaniem.

— Cicho tam z tymi smarkami!

Przypominamy, iż wszelką korespondencję adresować należy:

Warszawa, Myśliwiecka 3
Redakcja tygodnika „STRZELEC”

Słychać jakis szelest... szmer... zrazu jakieś ledwie dosłyszał, gdzieś z dala dochodzące stąpanie... coraz głośniej... ciężkie bucior żoźnierskie... szczech bagnetu uderzającego o karabin.

— A hycel, nawet bagnetu nie nałożył.

Słychać głos przytłumiony jakby z pod ziemi: cicho, nie bez. A to ci jucha. Kwili i kwili. No, mały, nie płacz. Dam ci chleba. Nie chcesz? Dam ci cukru. No, przecież zrozumiał. Cukru mu się zachciewa.

Głos coraz bliższy, wyraźniejszy i gderliwszy.

Z mgły wynurza się jakaś olbrzymia postać. Idzie ciężko, pochylona. Stąpanie głośne, ot ciężkie buty żoźnierskie. Z gromadki oczekujących wyrwa się gwar zapytań i nawoływań. Ogólne sapanie.

— Hej, Antek.

— A cicho tam. Czego się drzesz? Moskali zbudzisz.

— E, licha tam. Nie słyszą. Przecież są za rzeką.

— Tobie łatwo krzycheć i mędrkować, bo nie o twoją skórę chodzi.

— A co tam niesiesz?

— Czekaście niech się wydrapię.

— Dawaj, my ci pomożemy.

— Nie dam, to mój.

— Twój? Jaki twój? Nasz!

— Wasz? A nie wiecie co niosę.

— Chłopak? Dziewczyna? Te, gadaj, co? Dziewczyna?

— Pfu! nie dziewczyna. Chłopak. Wojak.

— Nasz, nasz.

— Aha, nie dla psa kielbasa.

Przed żoźnierzami stanął Antek.

— No, co masz?

— Panie kapral, melduję co chłopak.

— Chodź do schronu, zobaczymy.

Józek odetchnął głęboko. Antek wrócił. Chcąc ukryć poprzednie zdenerwowanie — a nużby sobie jucha coś ubzdurał — odezwał się do Antka, usiłując przybrać obojętny, spokojny głos: — Antek, cholero jedna, a ładny?

— A czort go wie. Zobacz kiedyś taki ciekawy. Ciemno, psiakrew, a on pyta czy ładny. Przecież czarno, jak u murzyna w brzuchu. Chodź do schronu, zobaczymy. To nasz chłopak, mój i twój.

— Kiedy warta. Nie mogę — odezwał się smutnym głosem Józek — a duży?

— Tyci szkrab. Ledwie to od ziemi odrosło. Z chorażewką. A lekki jak szczeniak.

— Panie kapral...

— A co tam?

— Panie kapral, ja tylko na chwilkę zobaczyć naszego chłopca.

— To zobacz.

— A kto mnie zastąpi?

— Zastąpi? Nie brachu. Służba.

— Rozkaz! — Głos Józka znowu rozdygotany łą. Ciężkie westchnienie i głośne pociąganie nosem. Kapral uśmiechnął się pod wąsem.

— No, Józek, już i tak za długo sterczysz. Zmiana warty. Kiryłyk, zmień Fronia.

Józek popędził do schronu. W schronie gwar, jak

za dnia. Wszyscy cisną się do Antka, który ze swojego żoźnierskiego płaszczka wydobywa ludzkie piskłę. Główna jasna jak pszeniczny kłos; buzia różowa jak maki polne, zamazana błotem, mokra; oczy - bławatki mrugają ufnie do żoźnierzy.

— Jeść!

Wesoły gwar, wykrzykiwania: a to ci skrzat. Ledwie uratowany, zamiast dziękować, — chleba. O ho ho, będzie z niego żoźnierz. Te słuchaj, a jak ci tam? Masz chleba. Na cukier. Kawa. Kielbasa. Idź durny, takie dziecko i kielbasa. Daj mu mleka. A skąd wezmę mleka? Panie kapral, nie ma mleka.

Wszyscy cisną się do chłopca. Każdy chce go zobaczyć, dotknąć, podać jedzenie. Jeszcze go prawie nie widzieli, nie wiedzą skąd, jak się nazywa, a już się martwią: nie ma mleka, a może to pański synek, co mu damy jeść, żoźnierski chleb twardy. Ot masz kłopot. Zapomnieli o śnie, o Moskalu, o jutrzejszym boju, zapomnieli nawet o żoźnierskiej przyjaciółce — wiernej fajce. A gdy jeden chciał zapalić, zakrzyczeli go: ty, Zając, nie pal. Dziecko.

Oczy im się śmieją. Niejeden myśli o własnym w domu zostawionym dziecku, inny, młodszy, o siostrzyczce, inny o swej ukochanej. A wszyscy zgodnie o chłopcu. Ustami czynią rozmaite grymasy, by zjednać sobie i rozweselić chłopaka.

— A to ci smyk, ma lat ze 3. Te, jakie tam trzy, może 2. Nie, 5. Skąd ty wiesz? Mój nie większy i ma 4 lata. E, twój — taki pokurcz. Jaki tata, taki syn. Ale ten, ho, ho, to duży chłop. Patrzcie, do żoźnierskiego chleba wyciąga ręce. Będzie żoźnierz. Patrz, Antek, on trzyma w rączce twój bagnet. Legun, legun, mały legun. Wiwat legun!

Krzyczą coraz głośniej.

Bacność!

Głowy odwracają się. U wejścia stoi porucznik, dowódca kompanii. Zdziwionym wzrokiem rzuca po twarzach żoźnierzy. Widać na jego twarzy niezadowolenie, skurcz gniewu. Żoźnierze stoją na bacność, ale jakoś tak dziwnie. Co to znaczy? Śmieją się. Usiłują ściągnąć twarz w marsa, ale nie mogą. Nie da rady. Oczy śmieją się, ręce drgają, ledwie na nogach ustać mogą, usta same się otwierają. Ale nie śmia mówić. Służba. Bacność. Dowódca kompanii.

— Co to za krzyki? Moskale nie daleko. Całą kompanię postawicie na nogi. Czy nie rozumiecie, że ludzie są zmęczeni, a jutro nowa bitwa? Kapral, co to znaczy?

— Panie poruczniku, melduję posłusznie...

— Kapral, co to za śmiech?

Porucznik dziwi się coraz bardziej. Nie poznaje swoich ludzi. Jego kompania ma opinię najkarniejszej. Co w tych ludzi wzięło?

— Panie poruczniku, melduję posłusznie Stasiak znalazł chłopca.

Głośny śmiech dziecka, gaworzenie. Żoźnierze zająmają o dyscyplinie, odwracają się od porucznika i śmieją się głośno jak opętani. Porucznik szeroko otwiera oczy. Nagle widzi na rękach żoźnierza małe śmiejące się dziecko, wyciągające do niego rączki i kopiące na wszystkie strony gołymi, brudnymi nóżkami. Porucznik mruga oczami, jakby olśniony nagłym, silnym światłem.

Nie nie rozumie. Zbliża się do Antka. Chłopak wyciąga do porucznika rączki, oczka śmieją się: tata, tata.

Porucznik nadrabia miną, by zachować powagę. W końcu nie wytrzymał, szczególnie, gdy usłyszał szczebiot dziecka — tata, tata. Uśmiech błogiego szczęścia rozjaśnił marsową twarz porucznika. Uśmiech przeszedł szybko w smutek. — Jak mój syn — szepnął i wyciągnął ręce do chłopaka, który zaśmiał się głośno i zaczął atakować nóżkami piersi swojego opiekuna i co bliżej stojących.

— A wy go obywatelu skąd?

— A no melduję, panie poruczniku, znalazłem nad Szczarą, leżał w polu i płacząc wołał mamę. Józef usłyszał i posłał, by go odszukać. Znalazłem i przyniosłem. On jeszcze głupi, nie rozumie co się do niego mówi. Woła tylko mamę, tatę, albo Ziuk. To pewnie jego imię.

— No, dobrze, ale co my z nim zrobimy? Przecież w kompanii, w linii nie wolno trzymać dzieci.

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, on będzie nasz.

— Czyj nasz?

— Józka i mój.

W jednej chwili rozpętała się kłótnia, gdyż wszyscy chcą chłopaka za syna. Większość woła, by chłopak był własnością całej kompanii, bo przecież znaleziono go na linii przed kompanią. Zdawało się, że cały schron rozniosą, zbudzą nie tylko całą kompanię, ale i Moskale i gotowy alarm.

— Cicho tam, on będzie Antka, on go znalazł.

— Panie poruczniku, gdyby nie ja, to Antek, by go nie znalazł. Ja usłyszałem jego płacz.

— Co sprawiedliwie, to sprawiedliwie — odezwał się Antek. Panie poruczniku, niech już tak będzie. On nasz syn — Józka i mój.

— A niech tam.

Porucznik machnął ręką i odwrócił się, by wyjść ze schronu. Nagle zatrzymał się.

— Jak mówicie, jak mu na imię?

— On mówi Ziuk.

Porucznika oczy zajaśniały błyskiem szczęścia i radości. Mimowoli wyprostował się, pierś wypiął jak na baczność i dłoń zaczęła wznosić się do daszka maciejówki.

— Jak nasz Komendant.

— Panie poruczniku, przecież nasz Komendant Józef.

— Tak, ale jako małe dziecko nazywał się Ziuk. Tak go nazywała matka.

Żołnierze krzyczą jeden przez drugiego, wyciągają ręce, chwytają się za głowy, uderzają się wzajemnie po plecach i piersiach. Jak nasz Komendant. On będzie żołnierzem. Panie poruczniku, wyciągał ręce do żołnierskiego chleba, w ręce trzymał bagnet Antka. On żołnierski syn. Śmiał się do pana, panie poruczniku, i wołał tatę. Może jego ojciec jaki legun albo strzelec. Napewno legun. Rozumie szarżę. Do nas ani mru, mru, a jak pan porucznik wszedł, zaczął się śmieć. Do nas tylko ot tak ślepiami mrugał.

— Nie prawda, do mnie się śmiał — oburzył się Antek.

— Aha, pewnie jakieś znalazł w polu.

— A pewnie.

Salwa zdrowego, żołnierskiego śmiechu zmieszała Antka.

— Taże tam ciemno. Tyś widział jego uśmiech? Łiesz Antek.

— Panie Poruczniku, kiedy on Ziuk, niech będzie kompanijnym synem, jak nasz duży Ziuk jest ojcem kompanii i legionów.

— Dobra.

Gwar żołnierski przechodzi w gwałtowny, niczym niekrępujący się wrzask: zgoda, zgoda... słusznie... nie dam... Dasz! Nie dam! nie dam, on mój Józek; nie dawaj, on nasz. Nie, łiesz, on nasz. Porucznik kazał.

Coraz głośniej. Twarze w jednej chwili zapłonęły gniewem. To przecież twarze żołnierskie — nieopanowane, bezwzględnie, jakby dzikie. Rzucają się na siebie z pięściami, chwytają Antka za błążę, za pas, za ręce, dziecko za nogi. Krzyczą, tupią nogami. Chłopak drze się w niebogłose. Rozedrą chłopaka.

Coraz więcej żołnierzy przybiega z sąsiednich schronów. Cała kompania postawiona na nogi. Co to? alarm? Moskale wpadli do rowów?...

— Spokój!

— Cicho, pan porucznik. Cicho, pst!

— Słuchajcie chłopcy, chłopak będzie dzieckiem kompanii.

— Panie poruczniku — wybuchnął Józek.

— Panie poruczniku melduję... — chciał go przekrzyknąć Antek.

— Cicho, rozkazuję, by Ziuk był synem kompanii.

— Rozkaz — huknęli gromkim głosem żołnierze.

— Rrrroozkaz... — wyszeptali cichym głosem Antek i Józek.

Antkowi powoli spłynęła łza z oka i padła na czoło chłopaka. Ziuk popatrzył na Antka jakby wzrokiem zrozumienia (tak płakała matka), uśmiechnął się i zatargał rączkami wąsy Antka. Antek rozbeczał się na głos.

Józkowi jakoś dziwnie drgała grdyka i coraz dłuższe, coraz głośniejsze pociąganie nosem świadczyło o jego wzruszeniu. Chwycił chłopaka za drugą rączkę i ucałował.

Skurcz bólu i smutku przebiegł po twarzy porucznika (gdzie mój syn, co robi mój synek?); wzruszony położył ręce na ramionach Antka i Józka i powiedział.

— Słuchajcie obywatele. Chłopak urodził się dla nas na linii naszego frontu. Wczoraj ochrzczony został na polu walki. Ma na imię Ziuk, jak miał za młodu nasz Komendant. Znaleźliście go nad Szczarą. Nie wiemy jak się nazywa. Dajmy mu nazwisko Szczarski. Ziuk Szczarski. Będzie synem kompanii, a opiekunami jego będą ci, którzy go znaleźli, Antek Stasiak i Józek Froń. No, zgoda?

— Zgoda, zgoda — huknęli wszyscy zgodnie.

— To niech już będzie jak pan porucznik każe. Na cześć Komendanta.

— Niech żyje Komendant! Niech żyje syn kompanii, Ziuk Szczarski!

Chłopak śmieje się, wierzą nóżkami i rączkami.

St. P.

NA WŁAŚCIWEJ DRODZE

Podokręg Związku Strzeleckiego Nowogródek zdając sobie sprawę z doniosłej roli rozwoju spółdzielczości na tuł. terenach zorganizował w marcu br. 2 tygodniowy kurs spółdzielczy w Baranowiczach. W kursie wzięli udział strzelcy - przodownicy z pięciu powiatów, oraz kilku członków Związku Rezerwistów, Straży Pożarnej i Młodej Wsi. Ogółem było na kursie 37 osób. Słuchacze otrzymali bezpłatnie na miejscu zakwaterowanie i wyżywienie, wpłacając jedynie po 2 zł wpisowego. W kwietniu odbędą praktykę wszyscy w spółdzielniach po czym zjadą się do Baranowicz na dwudniową konferencję, po której otrzymają stosowne zaświadczenie z odbycia kursu i praktyki. Odbywający praktykę w spółdzielniach zamiejscowych otrzymają po 15 zł zasiłku i ułatwienia w przejazdach.

Zajęcia na kursie odbywały się częściowo w miejscowym Gimnazjum Kupieckim, którego Dyrekcja łaskawie udostępniła korzystanie z pomocy naukowych, co dla kursu miało wielkie znaczenie. Program kursu obejmował: ustawodawstwo spółdzielcze, statut i organizacja spółdzielni, towaroznawstwo, rachunkowość (księgowanie), kupno i sprzedaż towarów, urządzenie sklepu itp., dalej nauka obywatelska, nauka o Polsce, niektóre zajęcia z W. F. i P. W., oraz zajęcia świetlicowe. Wykłady prowadzili przedstawiciele Zw. Sp. Spoż. R. P. z Warszawy pp. Andruszkiewicz i Walat, p. Hermanowicz z Baranowicz, oraz profesorowie: Sikorski, Cudziło i Wadejko, pp. Grzech, Pikulski i piszący niniejsze. W międzyczasie odbywał się w Baranowiczach kurs jajczarski z czego również skorzystali słuchacze kursu spółdzielczego.

24 marca odbyło się zakończenie kursu, na którym był obecny p. wojewoda nowogródzki Sokołowski, i p. starosta Wańkiewicz, oraz przedstawiciele wojska. Pan Wojewoda, dzięki wydatnej pomocy którego kurs został zorganizowany, w przemówieniu swym do słuchaczy podkreślił konieczność UCZCIWOŚCI w pracy. Nieuczciwość przynosi państwu i społeczeństwu wiele szkody i załamuje nie jedno ludzkie poczynanie. Pożyteczny spółdzielca musi być przede wszystkim człowiekiem uczciwym. Poza tym musi być wytrwałym w szarej, codziennej i systematycznej pracy. My, Polacy lubimy dość często operować wzniosłymi hasłami poprzestając niekiedy na wygłaszaniu tych hasła, a to nie wystarcza. Trzeba, aby hasła były realizowane w życiu. Kurs spółdzielczy jest dowodem czynu.

Następnie zwrócił jeszcze p. Wojewoda uwagę na prawo każdego obywatela do pomnażania swoich dóbr materialnych.

Przemawiał również p. starosta Wańkiewicz, nawiązując do słów Pana Wojewody. Następnie odbył się krótki wieczór świetlicowy, na którym m. in. słuchacze kursu ob. Jan Lichuta z Horodyszczu i ob. Romuald Klimowicz ze Słonima wygłosili krótkie referaty, „jak założyć i prowadzić spółdzielnię” i „znaczenie spółdzielczości” po których wywiązała się bardzo ożywiona i rze-

czowa dyskusja. Kurs zakończono odśpiewaniem hymnu organizacyjnego „Hej strzelcy wraz”.

Podkreślić jeszcze należy, że władze strzeleckie przyjmując na kurs przedstawiciele innych organizacji i ponosząc na nich pewne koszty na równi z własnymi członkami dały jeszcze jeden wyraźny dowód daleko posuniętej dobrej woli utrzymywania kontaktu i współpracy z innymi pokrewnymi ideowo organizacjami. Jakże często słyszy się z różnych ust frazesy o współpracy, ale gdy trzeba zrobić coś konkretnego w tym przedmiocie — wielu nie chce wyjść poza swoje ciasne podwórko. Mimo to jesteśmy zdania, że w pracy nad rozwojem spółdzielczości w terenie powinniśmy się wszyscy łączyć.

„W jedności siła!”

Kazimierz Bryja.

Z ŻYCIA ODDZIAŁÓW STRZELECKICH

W ciągu miesiąca lutego i marca odbyły się na terenie powiatu WRZESIŃSKIEGO walne zebrania oddziałów Z. S. Zarządy zdawały rachunek z dokonanych prac powierzonych sobie jednostek, zestawiały bilans dorobku za rok ubiegły. Rachunek ten wypadł różnie, jak różne są warunki pracy poszczególnych oddziałów a w szczególności pododdziałów Z. S. Stwierdzić w każdym razie należy, że te pododdziały i oddziały, na których czele stali ludzie pracy, spełniły swoje zadanie w zupełności, mogą pochłubić się znacznymi wynikami. Reasumując rezultaty pracy wszystkich oddziałów i pododdziałów przyznać trzeba, że wyniki są naogół dobre, że strzelcy i strzelczynie dołożyły starań dla sprostania zadaniu niezawsze łatwemu, a częstokroć bardzo przykremu. W końcu zaznaczyć trzeba, że dopływ nowych sił, młodych, przepojonych entuzjazmem, który już w ubiegłym okresie tak korzystnie wywarł piętno na życiu organizacji, pchnie pracę o poważny krok naprzód w myśl wytycznych naszych naczelnych Władz Strzeleckich.



Kurs spółdzielczy Z. S. Podokręgu Nawogródek w Baranowiczach.

Dnia 14 marca b. r. w świetlicy strzeleckiej w KONINIE rozegrano zawody pingpongowe między drużynami Z. S. Konin, a K. S. M. Golina z wynikiem 14:1 na korzyść strzelców. Rozegrano cztery spotkania indywidualne i dwa double. Tak w grze indywidualnej, jak i w grze podwójnej strzelcy przewyższali przeciwników o całą klasę. Rewanżowe spotkanie odbędzie się w Golinie po świętach Wielkiej Nocy.

Staraniem Zarządu Oddziału Związku Strzeleckiego WRZESNIA — MIASTO, została urządzona wieczorni-

ca, poświęcona uczczeniu pamięci Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i imienin Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Na program uroczystości złożyły się: odczytanie rozkazów władz Z. S. na dzień 18 i 19 marca, deklamacje, recytacje, odczytanie fragmentu z opowieści legionowej, wspólny śpiew oraz przemówienie okolicznościowe ob. komp. Szymańskiego, v-prezesa oddziału.

HODOWLĘ BYDŁA
PODNOSI
DOBRZE ZORGANIZOWANE
MLECZARSTWO
A JEGO
FUNDAMENTEM
JEST

Wzórka
ALFA-LAVAL
Model "60"
Rok 1937.

W WZOROWYM GOSPODARSTWIE - ALFA-LAVAL

Skromna uroczystość, która zgromadziła licznie strzelców i strzelczynie była wyrazem żywnych dla postaci Wielkich Marszałków Polski szczerych uczuć i wyrazem woli wytrwania na obranej przez nas drodze żmudnej a zaszczytnej pracy dla dobra Państwa Polskiego w myśl Ich wskazań.

RADIO W ŚWIETLICY

(od dn. 18.IV. do dn. 24.IV).

Niedziela — dn. 18.IV. 12.03 Koncert rozrywkowy. 14.30 Orkiestra mandolinistów z Radomia. 15.15 „Audycja dla wsi”. 16.30 „Lajkonik”. 19.20 Koncert rozrywkowy. 21.00 „Znaleziona melodia” — humorska. 22.00 „Echa leśne” — audycja muzyczna.

Poniedziałek — dn. 19.IV. 16.30 Polska Kapela Ludowa. 17.00 „Organizacja liceów pedagogicznych” — odczyt. 18.20 Muzyka lekka. 19.00 Audycja żołnierska. 19.30 „Stare przeboje” — koncert. 21.30 „Odgłosy Wileńszczyzny” — „Białorusini. 22.00 Koncert.

Wtorek — dn. 20.IV. 16.30 Koncert jugosłowiańskiego chóru. 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich” — powieść mówiona. 17.50 „Dziennik feministyczny”. 18.20 Muzyka lekka. 19.00 „Czy młodzież współczesna jest lepsza czy gorsza od dawnej” — dyskusja. 20.15 Koncert symfoniczny.

Środa — dn. 21.IV. 16.30 Orkiestra dęta Zw. Rez. 17.15 Koncert solistów. 17.45 „Zniechęcenie i radość życia” — „Rozmowa z przyjacielem”. 19.00 „Bal mas-

kowy” — obrazek obyczajowy. 20.10 Orkiestra Edith Lorand.

Czwartek — 22.IV. 15.15 Koncert rozrywkowy. 17.15 Współczesna polska muzyka kameralna. 18.20 Muzyka lekka. 19.00 Słuchowisko p. t. „Słowacki w Poznaniu”. 20.30 „Poznań, jako środowisko kulturalne” — odczyt. 21.50 Płyty dla znawców.

Piątek — 23.IV. 17.00 „Program liceów pedagogicznych” — odczyt. 18.20 Muzyka lekka. 19.20 „Z pieśnią po kraju”. 19.45 „Zwiedzamy ośrodek Wych. Fizyczn. w Warszawie” — reportaż. 20.15 Transmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie opery „Biały Kwiat”.

Sobota — 24.IV. 14.30 Ogłoszenie konkursu z nagrodami dla dzieci p. t. „Dlaczego powinniśmy kochać i szanować las”. 16.15 „Z wieży Mariackiej” patrzymy na Kraków. 18.20 Muzyka lekka. 18.50 Audycja dla Polaków zagranicą. 19.30 „Przy wieczornej herbacie”. 21.50 „Pół godziny impertynencji bez drutu”. 22.00 Do tańca — gra Mała Orkiestra P. R.

Adres redakcji: Warszawa, Myśliwiecka 3, administracja: Warszawa, ul. Leszno 13 m. 8.
Tel. 11-73-50 i 11-15-46.

Konto czekowe w P. K. O. 14.785.

WARUNKI PRENUMERATY: rocznie 15 zł. — półrocznie 8 zł. — kwartalnie 4 zł. Zagranicą 50% drożej.
Numer pojedynczy 50 gr. Zmiana adresu 50 groszy.

CENY OGŁOSZEN: 1/1 str. — zł. 500, 1/2 str. — zł. 300, 1/4 str. — zł. 170; za milimetr szerokości jednej szpalty za tekstem — zł. 0.80; miejsce zastrzeżone o 25%, a komunikaty, opisy, fantazje, tabelaryczne i tekstowe o 50% drożej. Układ kolumny ogłoszeniowej 3-szpaltowy, wysokość szpalty — 250 m/m., a szerokość 50 m/m. Od tych cen żadnych zniżek nie udzielamy. Ogłoszenia płatne są z góry.

Za terminowy druk i treść ogłoszeń — Redakcja nie odpowiada.

Redaktor odpow. I. Trętowska.

Wydawca: Centralny Instytut Wydawniczy Z. S.

Druk. „KADRA”, Warszawa, Długa 50. Tel. 11-86-30.

CO CZYTAĆ

Ewa Śliwińska — HISTORIA NASZYCH ZBÓŻ. —
Wydanie Państw. Wydawnictwa Książek Szkolnych —
Lwów 1937 r.

W naszej literaturze przyrodniczej brak było dotąd dobrej popularnej książki obejmującej dzieje rozwoju roślin uprawnych, dającej możliwość odczytania się od codziennych zagadnień rolnictwa, sięgnięcia w głąb dziejów i uświadomienia sobie najistotniejszych prawd o pochodzeniu naszych zbóż i rozwoju kultury rolnej. — Tę lukę wypełnia książka p. Ewy Śliwińskiej, która wzięła sobie za zadanie przedstawić nam odwieczną historię naszych zbóż: ich uprawy i zobrazować jak wielkiego wysiłku dokonała ludzkość zaim doszła do obecnego stanu uprawy roli.

W b. przejrzystym i plastycznym skrócie zapoznaje nas autorka z najdawniejszymi sposobami zdobywania pokarmu roślinnego przez ludzi pierwotnych, z krajami skąd pochodzą nasze zboża, z początkami uprawy rolnej, kiedy to zboża rosnące w stanie dzikim prowadziły zaciętą walkę o byt z trawami, mającymi większą zdolność rozprzestrzeniania się i dopiero dzięki pomocy człowieka zboża odniosły nad nimi walne zwycięstwo zagarniając niezmiernie przestrzeń ziemi pod swe panowanie.

A dalej w pięknym i ciekawym opowiadaniu roztacza się przed nami urok historii uprawy zbóż, będącej przecież podstawą dziejów całej kultury ludzkiej. Poznajemy rolnictwo starożytnego Egiptu, krajów Wschodu, Rzymu, Grecji, przez okres Średniowiecza przechodzimy do czasów dzisiejszych, by uświadomić sobie jaki jest dzisiejszy stan uprawy roli, wysokość obecnej produkcji rolnej, jakie zboża uprawiane są w największej ilości, a jakie utraciły znaczenie w rolnictwie oraz szereg innych wiadomości, niezbędnych dla rolnika, który umie sięgnąć wzrokiem dalej niż sięga obszar jego własnej zagrody. To też książkę p. Śliwińskiej polecamy wszystkim naszym czytelnikom, jako b. ciekawą i kształcącą lekturę.

Dzięki umiejętności autorki barwnego i przejrzystego przedstawiania zagadnień naukowych i dzięki pięknemu ujęciu literackiemu książki — „Historię naszych zbóż” czytamy z prawdziwą przyjemnością, jak dobrą powieść. Na zakończenie wspomnieć należy o b. ładnej i starannej szacie zewnętrznej książki, ozdobionej licznymi rysunkami wykonanymi przez autorkę.

J. S.

Basil Carey: KAPITAN KRYSZYNA. Przekład J. Sujkowskiej. Powieść. Wydawnictwo Księgarni Wł. Michalak i S-ka, Warszawa.

Pisarz angielski Basil Carey dotychczas nieznan w Polsce, należy do tych autorów, którzy szturmem zdobywają sobie czytelników: żywym barwnym i zwiezłym językiem, a nadewszystko akcją urozmaiconą, rozgrywającą się błyskawicznie i do ostatniej chwili trzymającą w napięciu uwagę i zainteresowanie czytelnika.

„Kapitan Krystyna” to pasjonująca powieść, w której byjny krajobraz wysp Oceanu Spokojnego służy jako tło dla odwiecznej walki mężczyzny i kobiety.

Ojciec Krystyny ginie, zamordowany skrytobójczo. Krystyna zna dobrze arkaną sztukę żeglarskiej i nie lęka się morza. Sama wyprawia się na poszukiwanie zatopionego statku ze skarbem. Pomaga jej wprawdzie milczący Blaize, ale wróg ich obojga, posępny Treherne ustawicznie krzyżuje ich plany.

Akcja tej powieści rozgrywa się na smaganej burzami wyspie Takunai, kończy się na morzu, gdzie Blaize i Treherne staczają walkę o inny łup — o Krystynę.

Liczne przekłady dzieł Basila Careya na obce języki (powieści te bowiem ukazały się w tłumaczeniach: francuskim, włoskim, niemieckim, czeskim, szwedzkim i hiszpańskim) świadczą o wielkim talencie tego pisarza, który przebojem zdobył sobie setki tysięcy czytelników.

„POEZJA LEGIONÓW”. Zebrał, opracował, opatrzył wstępem i życiorysami Karol Koźmiński. Warszawa, 1937. Główna Księgarnia Wojskowa.

Jest to pierwsza ciekawa próba dania czytelnikowi wyboru poezji z obu wielkich epok legionowych: 1) rozpoczynającej okres walk o niepodległość pod Janem Henrykiem Dąbrowskim i 2) kończącej ją zwycięsko pod wodzą Józefa Piłsudskiego. Nie trzeba podkreślać, jak olbrzymią, doniosłą i twórczą rolę w tych wielkich ruchach zbrojnych odegrała poezja legionów: poeci - legionści, jak Godebski, Wybicki, czy Brodziński, jak Żuławski, Długosz czy Mączka — to przecie czołowe postacie naszej literatury; pieśń Wybickiego o „Tej, co nie zginęła” jest naszym hymnem narodowym, a pieśń legionów Piłsudskiego o Pierwszej Brygadzie — „najdumniejszy śpiew żołnierski” — jest hymnem pokolenia wieńczącego zwycięstwem walkę o wolność Ojczyzny.

Autor omawianej tu pracy, mający za sobą już cały szereg dzieł, pamiętników wojennych, powieści historycznych i t. p., w pierwszej części „Poezji Legionów”, zamkniętej datami 1796 — 1807, oparł się m. in. na rzadkiej już dziś książce, wydanej przed laty dwudziestu przez Apolinarego Krupińskiego, p. t. „Poeci Legionści”. Część druga, okres lat 1914 — 1918, poprzedzona słowami Józefa Piłsudskiego: „Można śledzić historię Legionów, studiując ich pieśni”, — to rezultat mozolnych poszukiwań w całym szeregu istniejących śpiewników żołnierskich, wyborze pism poszczególnych autorów i t. p. Znajdujemy tam m. i. historię powstania i autentyczny tekst „Pierwszej Brygady”, jeden z najpiękniejszych wierszy o Komendancie Piłsudskim (Kostka - Biernackiego), poezje Wieniawy, najbardziej bodaj popularną piosenkę Legionów o „Matce, co miała trzech synów” (Kowalskiego) i t. p.

„Poezja Legionów” Koźmińskiego, zaopatrzona obszerniejszym wstępem, podaje podobizny i życiorysy autorów, oraz wybór celniejszych utworów, objaśnienia niezbędne, bibliografię i t. p.

Książka ta dzięki pięknej szacie zewnętrznej i nadzwyczaj starannemu i pięknemu opracowaniu jest nie tylko cenną pomocą dla każdego znawcy i miłośnika literatury ojczystej, ale może stać się ozdobą biblioteki prawdziwych miłośników pięknej książki.

Wystawa Fotografiki Wojskowej

organizowana z ramienia Wojsk. Inst. Nauk.-Oświat. przez Redakcję „Podchorążego” posiada zadeklarowaną wielką ilość cennych nagród.

Ogólna wartość nagród przekracza 2600 zł.

Przewidziane są następujące nagrody: 1-sza w wysokości 300 zł. 2) II-ga 200 zł. 3) dwie III nagrody po 150 zł., 4) osiem IV nagród w wysokości 100 zł. każda, 5) piętnaście V nagród przeciętnej wartości 60 zł. każda.

Termin nadsyłania zdjęć na Wystawę (w formacie nie mniejszym niż 13×18 cm) upływa dn. 10 maja 1937 r.

Do wystawienia zakwalifikowane zostaną prace, których temat związany jest z wojskiem lub przysposobieniem wojskowym. Regulamin Wystawy w inny sposób nie ogranicza fotografów, którzy powinni zwrócić uwagę na artystyczne i pomysłowe ujęcie tematu.

Nadesłane zdjęcia winny być zaopatrzone na odwrocie odpowiednim tytułem, oraz imieniem i nazwiskiem autora, prócz tego do każdej przesyłki winien być dołączony spis wszystkich nadesłanych zdjęć przez danego autora z czytelnie podanym jego imieniem i nazwiskiem oraz adresem. Jednocześnie należy podać rodzaj aparatu, z jakiego zdjęcia zostały wykonane, ich technika, rodzaj papieru i inne uwagi.

Szczegółowy regulamin Wystawy został podany już [swęgo czasu w „Strzelcu”. Prace] na Wystawę należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Podchorążego” Warszawa, Nowy-Świat 23/25

Ostrożnie z kontaktem

